Pomarańczowe zmiany – tu nie

Koniec lat osiemdziesiątych. Po locie do Doniecka jedziemy dalej samochodem na polskie budowy przechowalni warzyw i owoców. Pierwszą miejscowością jest Makiejewka. Są na świecie miejsca, do których nie dotarła współczesna cywilizacja i kultura. Ale w Europie? Wspomnienia ze wschodniej Ukrainy są druzgocące. Nowe, a już rozklekotane żiguli wolno zmierza ku budowom znacznie oddalonym od metropolii. Jazda przypomina slalom – w drogach znajdują się wielkich rozmiarów dziury, pęknięcia, rozpadliny i garby. By nie urwać podwozia, należy je omijać starannie i z niewielką prędkością. Wokół szaro-czarne pustkowia pozbawione roślinności. Step bez życia. Po wielu godzinach wyczerpującej jazdy docieramy do celu. Są nim niewielkie miejscowości, chaotycznie zabudowane.

Gdzieś głęboko pod nami, w nieludzkich warunkach pracują ludzie. W labiryncie wyrąbanych w węglu kopalnianych korytarzy wre praca. Znojna, ciężka i niebezpieczna, bo zysk najłatwiej osiągnąć, lekceważąc wymogi bezpieczeństwa. Te oszczędności nijak się mają do nędznego wynagrodzenia, które otrzymuje górnik. Wszędzie widać ubóstwo i brud. Bieda w rejonie donieckim ma różne oblicza. W sklepie od czasu do czasu jest chleb i jajka, ale wódka zawsze. Warzyw w ogóle brak, ziemniaki są prawdziwą rzadkością. Jak i inne produkty – wydają się niejadalne.

Ludzie w zniszczonych ubraniach, wynędzniali, poruszają się jakby bez planu. Ktoś zaprasza nas do swojego lokum. Będziemy nocować obok, w służbowym mieszkaniu. Wielopiętrowy blok, wraz z kilkoma innymi, kontrastuje z otaczającą go bezkresną równiną. Cóż, zbudowano go według komunistycznego, sprawdzonego projektu. Takie się produkuje, a że nie odpowiadają warunkom lokalizacji? O planowaniu przestrzennym nikt tu nie słyszał. Dach nad głową jest najważniejszy. Drzwi wejściowe do budynku nie zamykają się, bo górny zawias jest wyrwany. Podczas kilkudniowego pobytu wyłania się przed nami obraz życia w wielopiętrowym bloku.

Sąsiadki krzyczą coś do siebie, choć dzieli je kilka pięter. Przez niedomykające się, wykonane z cienkiej płyty, nieszczelne drzwi mieszkań, na klatkę schodową bez przeszkód docierają toczące się kłótnie, pojękiwania. Małe, umorusane i pozostawione bez opieki dzieci „bawią się" na krzywej klatce schodowej na siódmym piętrze. Spuszczają nóżki w pustą, szeroką przestrzeń pomiędzy przeciwnymi biegami schodów. A pod nogami – dwudziestokilkumetrowa przepaść. Wykonawca planowo, na czas oddał blok, ale o poręczach na klatce schodowej – zapomniał. A może w ogóle nie było ich w projekcie? Każdy stopień nierówny. Jak wchodzisz – miej się na baczności, równie „bezpieczne" byłoby chodzenie po dachu.

A małe dzieci? Kto miałby się nimi zająć? W *dietskich sadzikach* czyli żłobkach, miejsc nie ma. Ich rodzice budują ustrój powszechnego szczęścia i zgodnie z przesłaniem komunistów -

wszystkim po równo – nie otrzymują nic. Kierownik robót obwozi mnie po budowanych przez firmę przechowalniach. Znów lawirujemy między niesamowitymi dziurami i kamieniami. I to w centrum miasteczek! Chodniki i krawężniki, jeśli w ogóle są, to wykoślawione i krzywe. Smutny krajobraz ziemi pozbawionej choćby kawałka zieleni. Wertepy porośnięte pożółkłą trawą, krzyżujące się drogi gruntowe prowadzące nie wiadomo dokąd. Po horyzont – martwy step, poorany kołami ciężarówek, tak głęboko, że Żiguli wpada w dziury i koleiny aż po osie, tańczy, podskakuje, a jazda co chwilę odbywa się w niepożądanym kierunku. I nie ma końca. Albo ten koniec będzie zaraz, jak urwie się zawieszenie. Kierownik mówi:

– A o kontrakty niech się pan nie martwi. Zapomnieli o wodzie, doprowadzą ją do naszych przechowalni nie wcześniej niż za trzy lata. Do tego czasu gwarancje wygasną.

Na stepie, w wypełnionych wodą zagłębieniach, widać pływające ryby. To hybrydy, o pokracznych kształtach. Miejscowi łowią je, pomimo tego, że są zdegenerowane genetycznie przez chemicznie skażone środowisko. Wiadomo, rejon doniecki to przemysł ciężki, huty, zakłady zbrojeniowe, kopalnie węgla i rud metali. Ale coś jeść trzeba.

Dokąd nie pojedziemy – wszystkie, dosłownie wszystkie budynki są niewykończone, oddane jakby w stanie surowym. I funkcjonują, jakby nikomu to nie przeszkadzało i nawet tak miało być. Ściany bloków nie spotykają się pod kątem prostym, widać wielkie szczeliny między płytami, ziejące pustką. Przez zamknięte okna hula wiatr. Drzwi do mieszkań mają takie szpary, że można nie tylko swobodnie słuchać treść toczących się rozmów, ale i... podglądać. Jak żyją mieszkańcy bloków? – nieskomplikowanie, bo co ze sobą zrobić, gdy wokół nie ma nic. W pracy i w domu – pijaństwo i okazjonalny seks, bez poszanowania dla kobiety, która oczywiście z nadanego jej statusu sprawy sobie nie zdaje. Jej mamę ojciec traktował jeszcze gorzej.

Więc marzy sobie taka – powiedzmy – Zina, o jakimś facecie, którego zapamiętała z filmu, a tu co dzień dopada ją ten sam Wowa śmierdzący potem i brudem. Rzuca się na nią zanim umyje się i coś zje. Wowa jednak swoje wie, bo i tak jeść prawie nie ma co, a wodę, której w obwodzie jest jak na lekarstwo, puszczą do rur, jak co dzień, między 18.45 a 19.30.

Więc lepiej teraz, już, bo później wodę wyłączą, a i prąd może też. A we łbie się kręci i spać się chce, więc po co prąd. W blokach, choć mają siedem pięter – wind nie zrobili. Na taki luksus władz nie stać. Zresztą i prądu jest za mało, a ile go taka winda zżera?! U hu, hu! A winda – z powodu ciągłych wyłączeń prądu, albo z powodu awarii – stawałaby często między piętrami. Kto by uwięzionych ratował? Wieczorem całe miasto ledwie się na nogach trzyma, albo... już nie.

Zina wie, że jak trafi się jakiś nią zainteresowany, który choć trochę kultury ma i prezenty daje, nie ma co się wahać. Więcej okazji może nie być. I hulać z nim będzie, póki Wowa do domu nie wróci. Będzie co wspominać, a i Wowa na tym nie straci, dom w końcu będzie trochę bogatszy. I dzieciakom coś się dostanie. A że z tego hulania może dzieciak być – co za różnica,

jedno więcej, jedno mniej. Wowa chla i na oczy prawie nie widzi, skąd będzie wiedział, że to nie jego? Wszystkie sąsiadki będą jej zazdrościć adoratora.

A co się stanie, gdy Zina wpadnie w oko Polakowi z pobliskiej budowy? Nietrudno odgadnąć, co pomyśli, gdy dostanie duży bukiet kwiatów! Nie spotkało jej to od lat, a tu i ciuszki za dolary i... ech… świat zawirował!!! A Polak pięknie mówi, czego to on dla niej nie zrobi, dokąd nie zawiezie. Zina po raz pierwszy będzie szczęśliwa. Świat ją wreszcie zauważył, a ona tak go pragnie. Obwód doniecki ma niewiele kościołów, cerkwi, nie ma niczego, co przypominałoby dziesięć przykazań. Co robić, kiedy wokół nie ma nic fajnego? Pustka. Coś Zina musi robić z czasem i pragnieniem szczęścia.

A zakochany polski robotnik? Dobrze mu tu i teraz, a co potem? Jak zwykle, nastąpi koniec umowy i wróci do domu. A w Polsce do szefa eksportu zgłaszają się zdenerwowane żony pracowników. Nic się nie ukryje, bo w listach do swoich żon koledzy piszą o „wyczynach" kolegów, a te z „dobrego serca" informują o tym te „poszkodowane". Proszą o ściągnięcie męża do kraju. Odpowiedź jest zawsze taka sama. To mąż podpisał umowę i wróci, kiedy umowa wygaśnie. Nie mamy środków na nieplanowane przeloty. I życie toczy się dalej.

Copyright©Wojciech.Wilczynski